Rok 1937 10 października Nr 41

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Najsławniejsze mosty świata



Ulubioną zabawą naszych dzieci to... „budujemy mosty dla pana starosty". Nie trudna to zabawa. A już trudniejsza jest robota zuchów i harcerzy, którzy muszą niekiedy w czasie najkrótszym sporządzić możliwe przejście przez jakiś potoczek. Jeszcze trudniejszą sprawę mają saperzy w prawdziwym wojsku, gdy muszą dla ułatwienia przejścia całego pułku przez rzekę zbudować przez nią most tymczasowy.

Ale czym że to wszystko jest wobec pracy inżynierów, którym wypada obmyślić plan i według niego zbudować z kamienia, cementu, żelaza i stali most trwały, znacznej długości i tak wytrzymały, by po nim przejeżdżać bezpiecznie mogły nie tylko furmanki i nowoczesne samochody, ale całe ciężkie pociągi kolejowe, a zarazem, by jego budowa nie przeszkadzała w żegludze rzecznej, a więc by pod mostem mogły swobodnie przepływać wysokie i szerokie statki. Tym czasem dziś już sztuka inżynierska umie tworzyć budowy, które po przez kawał morza łączą dwa lądy.

Rycina nasza przedstawia najdłuższy dziś most w Europie, który w obecności króla Danii Chrystiana X i następcy tronu księcia Fryderyka (widzimy ich obu na zdjęciu) został w ostatnich dniach w sposób uroczysty oddany do użytku publicznego ku zadowoleniu podróżnych, gdyż skraca im podróż prawie o godzinę z Berlina lub Hamburga do Kopenhagi.

Most ten łączy dwie wyspy duńskie Lolland i Falster z trzecią największą, Zelandią, na której leży stolica Danii Kopenhaga. Ma on 3200 m. długości i wspiera się na 49 filarach. Przez most przechodzi linia kolejowa i wspaniała autostrada szerokości 6 metrów. Oprócz

tego jest droga dla pieszych i osobna jezdnia dla rowerów, którymi w Danii posługują się niemal wszyscy mieszkańcy, dzięki wybornym drogom w całym kraju.

W ogóle Dania jako kraj wyspiarski posiada wspaniałą sztukę budowania mostów i może być dumną ze swych inżynierów.

Jeszcze większą umiejętność w budowaniu wielkich mostów, aniżeli Duńczycy, osiągnęła Ameryka. Do niedawna z licznych jej mostów, najsławniejszy był nad Zatoką Hudsońską, mający 1067 m. rozpiętości między przęsłami. Dziś wspaniałe to dzieło myśli i rąk ludzkich ustąpiło najnowszemu, bo w tym roku ukończonemu mostowi, który stanął nad Zatoką Golden Gate w Kalifornii. Most ten stanowi część olbrzymiej autostrady ciągnącej się wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki od Meksyku aż do Kanady. Wody Zatoki Golden Gate były w tej wspaniałej drodze nieznośną przerwą, którą samochody przebywać musiały na promach. Trwało to dla Amerykanów, którzy uważają stratę czasu za stratę pieniędzy — za długo, bo przeszło pół godziny. Obecnie przejechanie autem przez nowy most, trwa niespełna 5 minut. Ten „cud techniki“, jak nazywają nowy most, kosztował 35 milionów dolarów, a budowano go przez niespełna 5 lat.

Można by przypuszczać, że przy takiej budowie mostu po nad morzem, musiało zginąć dużo robotników, gdyż przywykliśmy, że mniejsze niż ta, budowy, pociągają za sobą liczne ofiary w ludziach, skutkiem nieostrożności, złego ustawienia rusztowania i t. p. Tymczasem tam przez cały ciąg pracy, zdarzył się tylko jeden wypadek nieszczęśliwy. Zawdzięczać to należy świetnemu pomysłowi otoczenia całej budowy sieciami drucianymi, które chroniły nawet, gdy ktoś spadał z wysokiego rusztowania.

O wytrzymałości tego mostu świadczyć mogą takie cyfry, że obliczono go na 80 milionów wozów samochodowych rocznie. Odległość między mostem a powierzchnią wody wynosi 7 m., to też przepływają pod mostem największe okręty oceaniczne, wielopiętrowe i najeżone wysokimi kominami. Filary zanurzone w morzu i wmurowane w jego dno wystają z fal na wysokość pół osma metra, stanowią więc najwyższe budowle na kuli ziemskiej.

Inżynierem, który tego dzieła dokonał, jest Polak Ralf Modrzejewski, syn najznakomitszej polskiej artystki dramatycznej, która niegdyś w teatrach w Ameryce cieszyła się taką sławą, jak mistrz fortepianu, Paderewski. Grób jej mieści się na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, skąd pochodziła.

W otchłaniach wód

(Dokończenie)

To jednak też nie trwa długo. Im głębiej zanurza się batysfera, tym bardziej światło nabiera koloru niebieskawego, tak, że przy 60 m. głębokości trudno im rozróżnić, czy jest to światło zielone, czy raczej błękitne. Wkrótce ton zielony znika zupełnie, a kolor błękitny tężeje i w głębokości 200 m. staje się zupełnie ciemny.

Powoli i to się zmienia: z błękitem mieszać się zaczyna kolor czarny i szary jednocześnie, aż w końcu nastaje w batysferze zupełna czarność. I gdy w głębokości 600 m. jeszcze mogli chwycić jakieś ledwie, ledwie dostrzegalne błyski światła, to osiągnąwszy głębokość 900 m. czarność, jaka otoczyła zamkniętych w stalowej klatce śmiałków, była już tak nieprzenikniona, że z niczym na ziemi porównaną być nie może.

To też, gdy w warstwach wyższych, w owym zielonawym i błękitnym świetle, mogli uczeni, chociaż z trudem, rozróżniać w migających postaciach znane sobie z połowów zwierzęta, — to w owej czerni straszliwej, wzrok ich chwytał jedynie migające błyski. Dopiero później, oswoiwszy się jako tako z nieprzenikni-

ną ciemnością, mogli podziwiać wspaniałe widowisko, jakie im dawały tysiące zapalających się i gasnących, strzelających nagle i wolno krążących świateł i ogni tajemniczych mieszkańców podwodnej krainy.

Widok ten czarowny wynagrodził im stokrotnie wszelkie trudy i niewygody, jakie ponosić musieli w swej niebezpiecznej wyprawie. Poznanie nieprzeniknionych mroków oceanu, pełnych jednak potężnie tętniącego życia, pozwoliło im też odczuć wszechmoc i mądrość Stwórcy, dla którego nie ma nic niemożliwego i wobec którego potęgi człowiek wydaje się drobniuchnym pyłkiem.

Dla nauki zaś genialny pomysł Wiliama Beeba, dał możność zdobycia mnóstwa wiadomości, których bez batysfery osiągnąć by się nie dało. Bajeczną swoją podróż opisał przyrodnik w książce p.t. „923 metry w głąb oceanu". Na język polski przełożył ją dr M. Jarosławski.

Z wierszyków małej góralki w Zawoi.

Modlitwa

Aniele Stróżu mój!
Błagam: Ty zawsze przy mnie stój,
Prowadź mnie przez życia drogi,
O, Ty mój Aniele drogi!
Stróżu - Aniele, od Boga dany,
Mój Przewodniku drogi, kochany,
Prowadź mnie, prowadź, bym nie [zbłądziła,
Lecz Bogu zawsze wiernie służyła.
A gdy się zbliży śmierci godzina,
Niech mnie nie minie Twoja przyczyna.
Nie daj, bym w mocy świata zginęła,
Lecz w Twych objęciach słodko zasnęła.

Bolesława Zimmermanówna.

Odpowiedzi redakcji: M. G.: Niemożliwe do druku. — I. Gr.: „Buraki" się nie udały

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 39: A, lek, San, der — Aleksander.

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Dokończenie).

W ciągu kilku dni następnych łupy potroiły się i z czterech myśliwych każdy mógł się już pochwalić własnymi trofeami.

P. Edward zaczął się obawiać, by skutkiem mgieł, jakie mimo listopada, więc z początkiem lata peruwiańskiego, niespodziewanie prześladowały ich nocami, febra Karola nie rozwinęła się w życiu obozowym i naglił do powrotu.

Zabrawszy tedy namiot, przybory i łupy, bo z żywności i tak już nic nie pozostało, ruszono w stronę portu Chimbote. Niestety, dowieziono do niego jedynie własne osoby. Kolorowi bandyci bowiem, dowiedziawszy się, że myśliwi polują dalej w zatoce, czekali na nich wytrwale do końca i napadli ich z zasadzki właśnie wtedy, gdy ich złodziejska wyprawa mogła się obłowić czymś, tak dla nich cennym, jak wspaniałe skóry lwów morskich. Trzeba je było wszystkie oddać w ręce zbójów, by ujść z życiem.

To też łupów myśliwskich nie wywozili z Zatoki Chimbote, siadając na statek, którym mieli wracać do domu; każdy jednak miał jakąś pamiątkę z pełnego przygód polowania.

Rana w ramieniu pana Wormsa goiła się powoli jeszcze przez parę miesięcy, ponieważ, jak się okazało dopiero w Limie, strzała nie musiała być czysta. Febra Karola dokuczała mu przez czas dłuższy, mimo że się leczył pilnie, chcąc jak najprędzej objąć powierzone mu przez pana Wormsa stanowisko w biurze zarządu kopalni. Co innego przeszkadzało i Raulowi w zajęciu podobnej posady: podczas walki bowiem o skóry morskich lwów oszczep Indianina zdarł mu skórę z prawej dłoni, w której przyszły sekretarz swego wuja nie mógł pióra utrzymać przez sześć tygodni. Wreszcie sam inicjator wycieczki myśliwskiej po lwie skóry, nabijając w pośpiechu broń podczas walki z dzikimi, osmalił sobie brodę i twarz trochę poparzył.

Niebawem jednak przygody z Chimbote poszły na chwilę w zapomnienie pod świeżym wrażeniem grozy, jaką młodzi przybysze z Europy przeżyli pewnej nocy, wraz z całą ludnością Limy.

Całe miasto już spało, gdy naraz rozległo się głuche dudnienie podziemne, po czym raz za razem powtarzające się silne wstrząśnienia budziły śpiących. Kto żyw, wybiegał na ulicę. Kobiety z rozpaczliwym krzykiem wypadały z domów z dziećmi na rękach. Psy wszystkie naraz szczekały i wyły, czując instynktownie niebezpieczeństwo trzęsienia ziemi.

Raul i Karol, wraz z całą rodziną Wormsów, wybiegli prawie tylko w bieliźnie z domu na skwer, zajmujący środek najbliższego placu, gdyż każdy stara się w takiej chwili dostać na miejsce otwarte, by się tym zabezpieczyć od przygniecenia walącymi się domostwami w razie gdyby katastrofa przybrała większe rozmiary.

W kwadrans po pierwszym wstrząśnieniu nadeszło drugie, znacznie już silniejsze, a wtedy zaczęły w całym mieście bić po nocy dzwony kilkudziesięciu kościołów. Ponura ich muzyka wzmagała jeszcze trwogę, mimo, że mieszkańcy Limy mogliby się z trzęsieniem ziemi niemal oswoić, skoro ono nawiedza ich przeciętnie około ośmiu razy do roku.

Ponieważ jednak od szeregu lat trzęsienia w tej okolicy nie przybrały rozmiarów większej klęski, jaka zwykle mniej więcej co pół wieku niszczy i pustoszy stolicę Peru, przeto obawy miały powód dostateczny.

Ale na szczęście, po paru coraz słabszych już wstrząśnieniach, wszystko ucichło się, i mieszkańcy przetrwawszy noc na dworze, wrócili rankiem do domów szczęśliwi, że wszystko skończyło się na poprzewracaniu sprzętów i rozwaleniu paru słabszych budowli.

W każdym razie nigdy już później trzęsienie ziemi nie wzbudzi w duszach Raula i Karola tak wielkiej trwogi, jak w ową noc, kiedy przeżyli je po raz pierwszy w życiu, drżąc między araukariami a eukaliptami na skwerze jednego z placów Limy.

KONIEC.

SZARADA

Pierwsze w formie wykrzyknika
Bardzo często używane,
A poza tym jest literą,
I za zgłoskę bywa brane.
Drugich unikać należy
I nie zadawać nikomu,
Dużo ich jest wszak na świecie,
Bo bratem mało kto komu —
Ni Japończyk Chińczykowi,
Ni bolszewik Polakowi.
Trzecie samo nic nie znaczy,
Tylko częścią jest całości,
Jak na przykład zwykłej gumy,
Jaguara czy koguta.
Za to **czwarty** sam jest w sobie,
A lubią go wszyscy w świecie,
Pokazuje świetnie tobie
Ludowy charakter przecie.
Całość — och, mój czytelniku,
Lepiej, byś go nie znał zbliska,
Narobiłbyś jeno krzyku
Na sam widok tego pyska.
Szczęściem — żyje hen daleko,
Poza górą, poza rzeką,
Poza morzem w obcym kraju,
I z pewnością nie był w raju.



Tak wygląda w Ameryce najszybszy pociąg kolejowy z lokomotywą nowego pomysłu.